

Wspólna obecność

ZLP
RZESZÓW

druk NASZ DOM RZESZÓW

nr 7, lipiec 2008

Debiut RYSZARD SZILER



Urodził się 1 września 1950 roku w Jarosławiu. Uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego w Kańczudze. Filologię polską studiował na WSP w Rzeszowie i UJ w Krakowie. Pracował jako nauczyciel, następnie przez wiele lat pełnił funkcję kierownika działu oświatowego Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej. Mieszka w Kolbuszowej, pracuje w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie. Zajmuje się grafiką, malarstwem, repuserstwem i literaturą. Od lat pisze zarówno wiersze, jak i prozę. Jest m.in. autorem jednoaktowego dramatu Spotkanie.

* * * * *

Poezja jest czułością
wobec świata
i jest
w ramionach krzyża.

Zdarza się
w kobietach,
dzieciach
i psich oczach.

Podobno objawia się
także pijanym,
ale ci nie są potem
tego pewni.

Są jednak chorzy,
bardzo chorzy,
którzy z natury
są czuli.

Tych przekornie
nazywają poetami,
a poezję cynicznie
nazywają sztuką.

Kolbuszowa

Jeszcze tu cienie puszczy wędrują
nocami,
jeszcze coś przedziera się przez
wyobraźnię myśliwych.
Jelenie parszczą pijąc księżycową wodę
ze studni,
w ryneczku jeszcze w obłokach odbijają
się miraże.

Stawideł i tartaków nilowych;
jeszcze czasem słyszy się zmuśną pracę
stolarzy,
czuć zapach suszonego drewna,
z którego składano bajkę drewnianych
witraży.

Czasem zielona przeszłość nadpływa nad
szare dachy,
pachnie lipcowym wieczornym
storczykiem;
każe wierzyć, że coś wielkiego może się
przydarzyć,
kiedy przymknę oczy.

Oberżysta

Zasypiali drogi srebrem,
diamentami, gwiazdami, wronami.
Powiedzieli, że jesień już przeszła,
przed chwilą, może dwiema chwilami.

Oberżysta jeszcze patrzył w dal,
lecz miał w oczach horyzont deszczowy;
trochę chyba było mu żal,
szeleszczących dukatów wrześniowych.

Hej, tam, panie!... – wysapał wreszcie –
u mnie piwa jest trochę i siana,
będziesz mógł pan odpocząć nareszcie,
a i przespać się choćby do rana.

Córka z włosów wyczesze ci wiatr,
z nasion traw oczyści obcasy...
Głupio, wiem, trzeba żyć,
nawet w takie srebrzyste czasy.

Przemijają kolory,
przesuwają się dni,
tylko litość zostaje;
cierpki pieniądź za sny.

Pozegnaliśmy JANA GRYGLA

5 lipca zmarł w Rzeszowie Jan Grygiel – wieloletni redaktor działu kulturalnego „Nowin Rzeszowskich” i „Nowin”. Miał 83 lata.

Początkowo był nauczycielem, ale zamiłowania dziennikarskie i literackie uczyniły z niego człowieka pióra. W latach pięćdziesiątych rozpoczął pracę w ówczesnym dzienniku „Nowiny Rzeszowskie”, redagując dział kulturalny. Przez długi czas prowadził autonomiczny dodatek kulturalny „Widnokrag”. Mało kto pamięta, że początkujący wówczas poeta Jan Grygiel był pierwszym przewodniczącym założonego 13 lutego 1960 roku Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, który od 1967 roku za sprawą Tadeusza Kubasa przybrał nazwę KKMP „Gwoźnica”. Dzięki Janowi Gryglowi cała plejada dzisiejszych pisarzy i poetów oraz krytyków Podkarpacia debiutowała na łamach „Widnokragu”, bądź „Nowin”. Jego zasług dla całego środowiska literackiego regionu nie jest w stanie przekreślić brak pamięci tych, którzy tak wiele zawdzięczają temu Człowiekowi. Podczas Jego pogrzebu na ementarzu w Wilkowyi, który odbył się 8 lipca, nie było nikogo z redakcji obecnego „Nowin”. A tej gazecie Jan Grygiel poświęcił ponad pięćdziesiąt lat swojego życia. Pozostanie jednak w pamięci tych, którzy w zmarłym widzieli przyjaciela ludzi pióra i świata artystycznego naszego regionu. Żegnamy Janka Grygla z wdzięcznością za długoletnią pracę dla literackich i kulturalnych działań Podkarpacia.



Wiesław ZIELIŃSKI

Debiut EDYTA GŁUSZAK

Mieszka w Jeżowie, absolwentka Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowie z roku 2005; zaczęła studiować zaocznie polonistykę na UR, ale wyjechała do Irlandii, gdzie dotąd przebywa. Jako poetka dała się poznać już w okresie gimnazjalnym, a w czasach licealnych zdobyła I nagrodę w kategorii literatury (poezji) XII Rzeszowskich Dni Kultury Szkolnej w roku 2004 i wyróżnienie honorowe XI Międzynarodowych Spotkań Poetów „Wrzeczono 2005” w Nowej Sarzynie. Już po ukończeniu szkoły uzyskała także wyróżnienie we „Wrzeczono 2007”. Wiersze Edyty cechuje subtelny liryzm, rozważania egzystencjalne i eschatologiczne wypływające z wiary w Boga i jakąś szczególną wrażliwość na człowieka, świat, boski ład natury. Jej wiersze często „zaludniają” anioły, a poetka wyobraźnia jakby zawiesza podmiot liryczny między ziemią a niebem. Dominuje w nich nastrój jakiegoś pogodnego smutku, który pozwala wnikać do głębi siebie i godzić ból, cierpienie i zawód z zauroczeniem światem, wiarą w dominację boskiego ładu i dobra w nim oraz w człowieku. (R.M.)



* * *

więc zatrzymaj się
właśnie teraz
kiedy uciekł ci
ostatni autobus
teraz
kiedy biegniesz
na kolejne spotkanie
z kimś ważnym
właśnie teraz
złap liścia we włosy
by nie spadł na ziemię
posłuchaj wiatru
by nie śpiewał dla nikogo
popatrz w niebo
uśmiechnij się do Boga
i biegnij byś się nie spóźnił

* * *

ktos za mocno kochający
w kącie pustego kościoła
szlocha
ktos za mocno kochający
wraca samotnie nocą
strach zabijając bezskutecznie
ktos za mocno kochający
zbyt nerwowo
w dłoni różaniec trzymał
koraliki się rozsypały
krzyż pozostał w dłoni

* * *

zagubiony we mgle
codziennych trosk
rozmijasz się z prawdą
i błędzisz jak anioł
co boi się Boga
przeprosić
poranek przekleństwem
a noc wybawieniem
wyznaczasz granice
by przekraczać je
i nienawidzić
z czystym sumieniem
niszczysz to czego
nie zniszczyli inni
i umierasz każdego dnia
by nocą
na nowo się narodzić
i czerpać życie z cudzych istnień

* * *

krople deszczu
szukając schronienia
natarczywie
dobijają się do okien
próbują nas wzruszyć
strumieniami łez
ostatkiem sił
błagają o pomoc
jeszcze chwila
i kolejna łza
zostanie
wchłonięta przez
szarą ziemię
ta łza
to łza Anioła
który płacze
bo musi powrócić
do świata
zwykłych śmiertelników

* * *

banalny nastrój
uroczystej chwili
pękł jak mydlana bańka
czarodziejska karoca
znów
zamieniła się w dynię
a piękna suknia
i złote pantofelki
w znoszone dawno
dżinsy i stare adidasy
przystojny księżę
okazał się
być taki zwyczajny
i pospolity...
już północ
muszę uciekać
zanim ktoś
odkryje mój sekret

* * *

Był
widziałam go
jak umykał
przez zamknięte okno
i utknął
między niebem a ziemią
Był
zapisał
białą kartkę
strunami myśli
pokaleczonych
przemijaniem
Był
bo chwila stała się
wiecznością
co utknęła między
nim a mną

Najtrudniej

najtrudniej
zamknąć oczy
pożegnać
zaspany poranek
jeszcze
nie powitany
wzrokiem
ściągam plamy krwi
z kredowej ściany
chwytam
niedokończony wiersz
umarłego poety
dzisiaj zdradzi mi tajemnicę
boleśnie przerwane go natchnienia
dzisiaj odejdę
z czernią nocy
niecierpliwą
najtrudniej zamknąć oczy
powtarzali
i odeszli

Poezja

MARIAN BERKOWICZ



Urodził się w 1935 roku, w Lisowie k. Jasła. Ma bardzo duże zasługi dla rozwoju ruchu literackiego w obecnym województwie podkarpackim.

Był obecny przy zakładaniu 13 lutego 1960 roku Korespondencyjnego Klubu Młodych, a następnie Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy „Gwoźnica”. Debiutował jako poeta w tym samym 1960 roku na łamach niezwykle poczytnego wówczas tygodnika „Nowa Wieś”. Wydał następujące tomiki poezji: *Świątki przydrożne* (1983), *Aby świat stał się przejezdny* (1988), *Mijając przykre* (1993), *Ptaki lecą do godności* (1993), *Gehenna bardziej się nachyla* (1998), *Świat z nadziei* (1999), *Dłuższa podróż* (2000), *Pamięć w oku* (2003), *Podszepty żądz* (2004), *Nawiązania* (2006). Jest laureatem wielu konkursów ogólnopolskich. Za tomik *Gehenna bardziej się nachyla* uzyskał „Złote Pióro” w 1998 roku. W 2001 roku otrzymał Literacką Nagrodę Miasta Stalowej Woli „Gałązka Sosny” za całokształt twórczości. Prezentowane wiersze pochodzą z jego najnowszego tomiku *Motywy*, wydanego w 2008 roku.

Porozumienie

rozum mi mówi
że patrząc na zło
idę do dobra
ugoda i zapal
wyjęte ze mnie
na światło
mogą być skutkiem

Liryka

mogę już liczyć
na deszcz i mgłę
w zamieci
opadających liści
moi przyjaciele
znikają
nie da się ukryć
zdziwieniu
że jestem
przy wątku
wzmaganie
na zewnątrz

Rozmach

na drogach
wyrwanych przestrzeni
zmienia się mój los
Serce głośniejsze
od lęku
przekornie
eksponuje
upodobania

Wybór

wybór
w proporcjach prawdy
znoszę z bólem
Upał emocji
nieprzewidziane
ów nie powraca
staje się
twardą poduszką

świat wciąga
zdumieniem
w cel

Ewentualności

między determinacją
a wątpliwościami
człowiek
liże piedestał złudy

każdy szczebel
zna nawiązania
bez tymczasowości

w zamian
intryga
i ogromne okno
oblepione ślimakami

wzroku nie odrywając
patrzysz
na rozstaje czegoś
miażdżony
przeżyciami

Zaduma

żeby zostać filozofem
nieroztropnie łamać palec
Panu Bogu
zaczynać dzień awanturą
w ślepej ulicy
zastawionej marzeniami
nieciekawych ludzi
chwilami
wstrząsają mną
dreszcze
głębokie przemiany
wnoszą do serca
ciekawe kreacje
z afektem
spojrzenie skubie
wątki realiów
w szumie prawa

Intencje

wolność
postawiła żagiel krwi
na sentyment horyzontów
zaciekawienie
przeszło granice
poczucia gustu
świętują
żniwa słów

Uzmysłowienie

miłosne uniesienia
przepelnia prawda
stoimy
nad aureolą
sekretny promień
śladem natchnienia
we mnie krąży
zamieć zmysłów
w mieszaninie
tęsknot
hula

Wiem

słowa
przerażonych myśli
wyprzedziły problemy
słyszę je
biją w bębunki
moich wątpliwości
wbrew sobie
odczytuję
los
mój los
wielkich
różnic

Zapaść

gwiazdy sprzyjają
wiatr posiewu
targa mnie bólem
pustego tekstu
upał frazy
wiesza się w ustach
piekło
w zapaści miłosierdzia
posłuchałem serca
które wybrało
wolność

Poezja

TERESA PARYNA

Jej rodzina wywodzi się spod Lwowa, sama urodziła się w Sośnicy Jarosławskiej, a mieszka w Przemyślu. Debiutowała literacko w 1987 roku. Wydała do tej pory w formie książkowej zbiory wierszy: *Ziarnkiem prochu* (1992), *Dotknąć nieba* (1997), *W porze jaśminowej* (1997), *Obok milczenia* (1998), *Tylko osty...* (2000), *W kwadraturze dni* (2002), *Z niebieskiej mgły* (2003), *Cienie bliskie i cienie dalekie* (2004). Laureatka nagród literackich. Jej wiersze znajdują się w kilkudziesięciu almanachach i antologiach, niektóre były tłumaczone na języki: angielski, arabski, białoruski, czeski, rosyjski, rumuński i ukraiński. Jest członkiem Związku Literatów Polskich. Píše również opowiadania, prozę poetycką i felietony. Zajmuje się też twórczością plastyczną. Prezentowane wiersze pochodzą z najnowszej książki pt. *Z białej ciszy* (2008).



Dołożył Bojko śliwkę

Przeszedł Bojko
z gawędy Pankiewicza
do mojego wiersza...
Przeszedł jak stał:
w barankowej czapce,
z powagą długich wąsów,
z kwartą śliwek
przyniesionych z gór.
Chudy, skośnooki,
Z całym „urokiem” skąpstwa.

Znów swojsko gra
wschodni targ.
Nie przeczuwa wojny,
co z wysokich gabinetów
wytoczy czołgi
na świętą ziemię Kresów.
I wiatr się nie spodziewa –
nurkuje w fałdach ciężkich spódnic,
tarmosi białe chustki bab,
które na liściach chrzanu
rozkładają tłuste osetki masła.
Targ zajęty sobą –
liczy, sypie, nalewa,
przebija, mierzy
na łokcie, korce i mendle.
Chmurny Bojko
nagle się uśmiecha –
kto wie,
może dołoży śliwkę...
Ale czas już się nie targuje –
brutalnie trąca garnuszek Bojka –
rozsypują się śliwki,
rozpada się świat...

Trawa

Nie, nie żałuj mnie –
podeptana wieczorem,
rankiem się podniosę.
Nie pytaj
o gazony, salony,
o łuki triumfalne.
Wiem, że i tak
mi zazdrościsz,
bo tylko dla mnie
tak pachnie ziemia,
tańczy wiatr
i niebo tuż, tuż
na odległość szeptu...

Pamięć i wiara

Stoją wysoko ponad czasem
i mają cudowną moc.
Wiara przenosi góry,
przenika kraty,
stroni od pytań.

W kadrze pamięci może ożyć
wesoły Lwów
z ciotką w seledynowym kapeluszu,
ze Szczepkiem, Tońkiem,
z bandą batiarów,
z kresową gwarą...
W bliźnach pamięci –
odłamki wojny...
Pędzi na śmierć transport pokoleń
przez Katyń, Charków,
Ostaszków, Miednoje,
przez stacje Syberii...

Gdy wiara zamyka oczy,
pamięć ciągle widzi –
łuny pożarów,
Orlęta, krzyże...

Pamięć i wiara
wołają przez łzy:

„ – Bądź wola Twoja...
i odpuszc nam,
jako i my...”

Kresowa romantyczność

Władysławowi Pankiewiczowi

Pamiętasz? –
liliowy dotyk wrzeźnia,
miasteczko na Kresach
w makijażu przedwojennym.

Ocierały się nasze myśli
o cień Brunona Schultza,
który szedł przez Rynek
w cynamonową przeszłość...

Stanąła przed nami
kresowa romantyczność,
podyktowała wiersz
z akcentem wzruszenia.

Koleiną dzieciństwa I

Brukiem nieba,
Wielkim Wozem,
na przełaj przez gwiazdozbiory,
z kopyta
aż posypie się gwiazdny pył...
Jedna narowista –
przyciąć taką
batem komety,
zakląć, zaczarować,
ściągnąć cugle wiersza –
o trzeciej nad ranem
wszystko jest możliwe...
Koleiną dzieciństwa
odjechać w pejzaż zaprzęsły,
w zapatrzona ojca,
w lwowski zaśpiew matki...
Może jeszcze raz
na omszałym ganku
bury kot
napręży się jak tęcza
i zapachną wianki
oktawą czerwcową...

Zawrócić

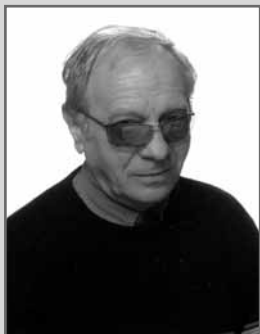
Cofnąć, zawrócić,
zatrzymać, pozbierać,
pochylić się, spojrzeć,
złożyć pocałunek.
Codziennosc łączywie
łyżkami nabierać
i młodość pić chciwie.

Tymczasem tylko aneksy
do treści zasadniczej,
którą czas cichutko
zdejmuje ze sceny.
Tymczasem dym w oczach,
roztrząskane lustra
i floksy w wazonie
już nie takie różowe...

Proza

JERZY STEFAN NAWROCKI

Urodzony 4 września 1941 r. we Lwowie. Od 1945 r. mieszka w Rzeszowie. Prozaik. Debiutował w 1972 r. na łamach „Żołnierza Polskiego” opowiadaniem *Drzewa nie mogą odejść*. Jego opowiadania trafiają do antologii 27 młodych pisarzy polskich *Wszystkie barwy tęczy* (tytuł całego zbioru przyjęty z jego opowiadania), a także do *Antologii konkursu „Rubinowej Hortensji” z lat 1965-1979* (1987). Zostaje wybrany wiceprezesa odrodzonego KKMP Gwoźnica w Rzeszowie. Debiut książkowy: zbiór opowiadań *Karty na stół* (1981). Kolejne wydania: 2 nowele pod wspólnym tytułem *Wielkie... trzy* (1987), książka popularnonaukowa *Dzieci kosmitów En* (1989), broszura sensacyjno – psychotroniczna *Każdy może na ćwierć guru* (1993), *Piramid największa tajemnica* (1993), mini powieść *Targ bardzo starych monet*, dwutomowa powieść *Ten tętent karych koni*, *Cienie* (2007), za którą otrzymał nagrodę literacką I stopnia miasta Rzeszowa. Jest członkiem Związku Literatów Polskich.



Cienie (fragment powieści)

Cienie. Wynurzają się z obskurnych, obsypanych ospą rozprysków po kulach, cieśnin Przesmyku i Baldachówki, na przeciwległym krańcu starego Rynku. Jeden. Dwa. Pięć. Całe rozsypane w zmartwiający czysy stado. Mają ciemne odzienienie, jakieś długie, luźne płaszcze. Twarze blade, bez wyrazu. Nigdy nie podnoszą głów, aby popatrzeć na mnie. Nogawki szerokich spodni nie noszą śladów żelazka. Dzień jest pochmurny, bez słońca.

Mama twierdzi, że to niemożliwe, abym takie cienie pamiętał. Kiedy wprowadziliśmy się do naszej kamienicy w Rynku nie miałem nawet czterech latek, a getto żydowskie istniało na placu Garncarskim wcześniej. Więc może było to w Jaśle, tam rynek jest bardzo podobny, do dzisiaj roztrząsam tą kwestię. Do Jasła jeździliśmy z Mamą sprzedawać robione w domu kanolody: wygotowany na gęsto z mlekiem i wanilią zakrzepły i pokrojony potem żyłką w kostki cukier: pycha! Kobiety z dzieckiem czepiały się rzadziej patroli. We Lwowie? Nie wiem. No – nie wiem! Pamiętam ciasnotę w przedziale, pamiętam migający za oknem wysoko nad głową porośnięty trawą kolejowy nasyp. Pamiętam jak płakałem, bo bardzo chciało mi się pić i jak ktoś dał mi napić się herbaty w butelce po oranżadzie – takiej z gumową uszczelką na porcelanowej zatyczce, przyczepionej do butelki drucianym uchwytem. Nie, to niemożliwe – tłumaczy Mama. – Taka mała istotka nie może niczego pamiętać...

Więc może było to w Wyżnem, gdzie mieszkaliśmy, czekając aż przewali się wojenna nawała, udając mieszkańców zagrody? Pamiętam zdjęcie: Mamę obierającą na podwórzu do wiadra kartofle i siebie z zawiązaną na głowie chusteczką do nosa, z supełkiem na każdym rożku, żeby porażenie słoneczne mnie nie dopadło.

Nie wiem, ale cienie wędrują. Wysuwają się z odrapanych bram i ujęć Baldachówki i Przesmyku, spośród poobijanych tynków. Mnóżą się. Kroczą przez powygużlany wojną, a może i starością Rynek, przez kocie łby ulicy Kościuszki, przez przestrzeń niemal bezkresną. Pojawiają się zawsze, kiedy wyglądam przez okno, a nasz Rynek jest pusty. Idą w czapkach i z podkrywanymi głowami, włosy są ciemne. Poły długich płaszczy rozwiewa wiatr. Suną przez Rynek na ukos, monotownie i nikną w ulicy Matejki. A może są to ludzie idący po prostu w niedzielę na mszę do kościoła? Nie mam pojęcia. To bardzo źle nie mieć pojęcia o własnym najwcześniejszym dzieciństwie w tak ważnej akurat sprawie. Wiem nawet przecież, jak się urodziłem. Okno w szpitalu, gdzie leżała Mama było rano otwarte około pół do dziesiątej i bocian rzucił mnie przez to okno prosto Mamie w objęcia, a w sprawie cieni nikt nie potrafi powiedzieć niczego...

Poezja

JURYJ ZAVGORODNYJ



Poeta, prozaik, tłumacz. Wydał dwanaście tomików wierszy i pięć opowiadań. W jego przekładzie z języka lotewskiego na ukraiński ukazały się cztery książki, m.in. autorska antologia poezji pt. *Z lotewskiego brzegu*, zawierająca utwory 73. poetów z Łotwy, którzy tworzyli w XX w. J. Zavgorodnyj tłumaczy także wiersze z innych języków. Jego przekłady polskiej poezji opublikowane zostały w pismach „Wseswit” i „Kyjiw”, w „Literaturnoj Ukrainie” oraz w zbiorze poetyckim *Na swoje miejsce* [Na krugi swoja] obok jego własnych wierszy. Utwory J. Zavgorodnego publikowano

w wielu krajach (Belgia, Białoruś, Łotwa, Niemcy, Polska, Serbia, Słowacja, Francja, Rosja). Członek Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy. Laureat nagrody im. Pawła Tycyny i Wołodymyra Sosjury, międzynarodowej nagrody im. Iwana Koszeliwca.

Płynie psalm

płynie psalm
drży w sklepieniach
pradawnych fresków złoto stare
i budzi się ze snu sumienie
i dusza odnowy pragnieniem się wznosi...
płynie psalm
i gwiazdne niebo wchłania
przestwór ściany w kopałach chramu...
płynie psalm
i czasy w jedność zlane
co nigdy nie przeminie...
płynie psalm...

Przełożyła Dorota Jaworska

komu się uda udaremnić
wysiłki innych
co tak ochoczo bez żalu
swoje żywe korzenie rwą gołymi rękoma
aż krew spływa strumieniami
niczym w boju
z odwiecznym wrogiem całego rodu?
i już nie ludzie nie ziemianie –
kosmitów chmary
leczą za wiatrem nad wysuszonym stepem
z wiatrem wyją jak z głodu wilki
w ślad tej kurzawie gdzie skurwili się krajanie.
komu się uda przewyciężyć
pustkę spalonych pól
i ospałość praojcowskich źródeł
czyżby nasz ród tak bardzo już skarłał
że już się nie posieje nie zeźnie żyta i pszenic?
komu się uda przekreślić
zapomnienie
w przygasłym popiele wygrzebać żar
rozniecić ogień w ognisku rodzinnym?
komu?
milczą i winni i niewinni...

Przełożyła Olga Ristowska

Esej JANUSZ TERMER

Inny obraz kresów

Na przykładzie *Czarnoruskiej kroniki trędowatych* Eugeniusza Kabatca

Zawodowi historycy i publicyści od ładnych już paru wieków nadal zspierają się o sens, znaczenie i rozliczne późniejsze konsekwencje polityczno-społeczne i kulturowe unii zawartej między Polską a Litwą Jagiełły w końcu XIV w., podpisanej przez Jagiełłę i „panów małopolskich” w Krewie (1385), wielokrotnie potem w różnej formie odnawianej. Po stronie polskiej niemal zawsze uważano ją za sukces obu państw, zwłaszcza w walce ze wspólnymi wrogami: Krzyżakami i moskiewską Rusią, która rosła w siłę po zrzuceniu jarzma tatarskiego. Wyrażał to dobitnie np. XIX-wieczny wybitny przedstawiciel krakowskiej szkoły historycznej Michał Bobrzyński: „Połączenie się z Polską, przyjęcie obrządku rzymskiego przedstawiało się zatem Litwie jak deska zbawienia od mściwego Zakonu, a zarazem jako wyzolenie spod ruskiego wpływu”.

Nieliczni polscy przeciwnicy unii, nie tylko w wieku XX, w tym skierowaniu się ówczesnej Polski na wschodnie terytoria Wielkiego Księstwa Litewskiego i w ogóle Słowiańszczyzny (z ideą stania się jej hegemonem), przy zaniedbaniu spraw zachodnich, widzieli w tym wielką pułapkę historyczną, tworzoną przez niekończące się wojny, mimo początkowych sukcesów (Grunwald), konieczność obrony bezkresnych zdobyczy terytorialnych, wciągnięcie kraju w długi proces poszukiwania niełatwych form koegzystencji ustrojowej, narodowej, religijnej, trwający od samych początków unii, do Konstytucji 3 Maja, która na koniec łączyła oba organizmy państwowe i terytoria w jeden wspólny, wielonarodowy byt. Idea ta nie zginęła u nas nawet ostatecznie wraz z tragedią rozbiorów, bo owe „jagiellońskie” pomysły unijno-federacyjne – już raczej jako idee tylko – miały u nas żywot znacznie trwalszy (odżywały w międzywojniu, np. w myśli i poglądach politycznych Józefa Piłsudskiego), a może i żyją jeszcze i dziś!

Toteż, mimo że wszystko to było tak dawno, jest o czym pomyśleć, i jest o co się spierać! Korzystali z tej okazji już pisarze staropolscy, którzy również nie byli tutaj wcale, jak nam się może wydawać, jednomyślni, lecz przeciwników miała unia polsko-litewska raczej nielicznych. Ich głosy z wielkim trudem przebijały się do świadomości potocznej. Należał do nich między innymi głos Macieja Strykowski (ok. 1547–1593), poety i historyka, który w obszernym utworze, wydanym z rękopisu dopiero po paru stuleciach, bo w 1978 roku (oprac. J. Radziszewska), poetycko-prozatorskim dziele o długim ogromnie, barokowym tytule *O początkach, wywodach, dzielnościach, sprawach rycerskich i domowych sławnego narodu litewskiego, żejmodzkiego i ruskiego, przedtem nigdy od żadnego ani kuszone, ani opisane...*, dawał wyraz niepopularnym wówczas (jak i dziś też nie za bardzo) poglądom o szkodach i krzywdach płynących z tego nierównego związku Litwy i Rzeczypospolitej dla słabszych partnerów ze Wschodu, zwłaszcza dla Litwinów i innych narodów przez nich podbijanych. W podobnym duchu tworzył swe trzyczęściowe, pisane wierszem młodzieńcze dzieło (również wywodzące dzieje Litwy z mityczno-rzymskich korzeni), potem dopiero popularny niezmiernie prozaik – Józef Ignacy Kraszewski, wyd. w Wilnie (1840-1845) pt. *Anafielas* [Góra Wieczności]. *Pieśni z podań Litwy* (Witolrauda. *Mindows. Witoldowe boje*. Przynosi ono obraz świata z punktu widzenia narodów „kresowych” (Litwinów, a także i powoli budzących się z historycznego letargu Białorusinów czy Ukraińców), mówiące inaczej niż w tradycyjnych polskich ujęciach – zapewne pod wpływem nowych, rodzących się romantycznych koncepcji historyzoficznych – o ich problemach z tożsamością narodową i poczuciu krzywd doznawanych ze strony silniejszych nacji i kultur, w tym i polskiej. W dziele Kraszewskiego (tłumaczonym od razu na litewski, rosyjski, czeski i francuski) Polska obejrzała samą siebie „z zażenowaniem i zdumie-

niem”, jak pisał niedawno na łamach „Przeglądu Humanistycznego” Eugeniusz Czaplejewicz, współczesny badacz literatury „kresowej”, i nie przyjmując do wiadomości faktu, „iż z byłej wspólnoty kresowej nikt właściwie jej nie szanuje, raczej darzy jakąś niewytlumaczalną niechęcią, która gotowa jest od czasu do czasu >>nagle<< eksplodować nienawiścią”. Utwór Kraszewskiego, skazany w Polsce na zapomnienie przez dawniejszych badaczy literatury polskiej (irytowało ono nawet samego Juliana Krzyżanowskiego), uważany jest dziś (choć znany tylko nielicznym, bo nigdy nie wznawiany) za zapowiedź podobnego „wadzenia się z polskością” przez takich XX-wiecznych twórców, tak zresztą różnych, jak Jerzy Stempowski, Stanisław Vincenz, Józef Mackiewicz czy Czesław Miłosz.

O tych wszystkich sygnalizowanych wyżej sprawach trzeba pamiętać podczas lektury oryginalnie skomponowanej literacko, stylizowanej na starą kronikę, a przy tym bardzo interesującej poznawczo, płodnej skojarzeniowo i poruszającej wyobraźnię jej czytelnika, powieści Eugeniusza Kabatca pt. *Czarnoruska kronika trędowatych* (wyd. Studio Emka, 2008). Bowiem i tutaj mamy do czynienia ze swoistą próbą zerwania z tradycją polonocentryzmu; upomnienia się o prawa owych milionów ludzi urodzonych na tzw. wschodnich „kresach” (bardziej przypadają mi do gustu raczej neutralny termin „pogranicze”, gdyż słowo „kresy” bardzo źle się kojarzy naszym wschodnim sąsiadom, Litwinom, Białorusinom, Ukraińcom), szczególnie zaś przedstawicieli owej tytułowej Czarnorusi (nadniemeńska okolica, dawne centrum polityczne Wielkiego Księstwa Litewskiego z dorzeczcia Niemna, z Nowogródkiem, Nieświeżem i Wołkowyskiem – gdzie notabene urodził się sam autor, w roku 1930). U Eugeniusza Kabatca mamy także do czynienia, choć może nie z tak ostrym jak u Józefa Ignacego Kraszewskiego spojrzeniem na – liczne niestety w naszych dziejach, o czym staramy się najczęściej zapominać – ciemne strony polskiej „polityki wschodniej” oraz na sprawy tak zwanego „wschodniego oblicza polskości”, związane dramatycznie także z problemami wyznaniowymi. Pokutuje oto u nas stereotyp Polski jako kraju i narodu wybranego, cierpiącego, a zarazem szczególnie wystawionego przez swe geopolityczne położenie na historyczne zawieruchy i nieszczęścia inspirowane przez politykę i działania sąsiadów. Prawda, nie brakowało nam tych nieszczęść nigdy, ale – zdaje się mówić całą swą powieścią Eugeniusz Kabatca – a co mają tutaj powiedzieć Białorusini, Litwini, Ukraińcy? Ich to przecież, poza wspólnymi nam tragediami, dotykał przecież dodatkowo polski pęd na Wschód oraz - jak powiada ów powieściowy „twórca” *Czarnoruskiej kroniki trędowatych* Mikołaj Kabacilos – i „wiarołomny oręż łacinników”! Ówże Mikołaj, mnich-agnostyk, podróżujący „służbowo” do Bizancjum i Rzymu, wytrawny znawca kultury śródziemnomorskiej, wypowiada się tu jasno i niedwuznacznie: „Najgorsze odszczepieństwo było nie ludzi od Kościoła, lecz Kościoła od ludzi, wśród których zrodził się Bóg. Wielka schizma katolicka nie była niczym innym jak pożegnaniem Boga”.

Oryginalny myślowo i literacko utwór Eugeniusza Kabatca przepojony jest wpisnymi weń dyskretnie pierwiastkami publicystycznymi, historyzoficznymi, realiami i postaciami historycznymi z „bardzo dawnych czasów” oraz wątkami fantastyki historycznej (spod znaku m.in. prozy Teodora Parnickiego), zarazem prozy bliskiej „realizmowi magicznemu” (*Sto lat samotności* Marquiza), gdzie odrzuca się chronologiczne rozumienie czasu. Utwór nasycony jest również licznymi innymi erudycyjnymi filiacjami, i często ironicznymi i dowcipnymi aluzjami i odwołaniami literackimi, do m.in. *Imienia róży* Umberto Eco, pism teologicznych okresu średniowiecza, a nawet i samej *Boskiej komedii* Dantego (jak na przykład kpiące

i znaczące przywoływanie losów nieszczęsnego hrabiego Ugolino, cierpiącego w piekle nie za swoje winy). Powieść Kabatca wyrasta jednakże przede wszystkim z podłoża rozlicznych doświadczeń autobiograficznych tego pisarza, człowieka pogranicza wschodniego (terenów tak ogromnie, jak wiadomo, „twórczogennych” w naszej całej literaturze), autora, któremu dane było zetknąć się (jako dyplomie przybywającemu przez kilka lat w Rzymie, znawcy i tłumaczu literatury włoskiej, długoletniemu działaczowi i prezesowi Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) z siedzibą w Wenecji) z tradycją także zachodniego punktu patrzenia na historyczne i współczesne wschodnio-prawosławne odmiany europejskości.

Sam pisarz staje się, a nie ma w tym specjalnej przesady, główną postacią *Czarnoruskiej kroniki trędowatych*. I to wcale nie dlatego, że pojawiający się na początku tej powieści współczesny jej narrator nosi wiele cech autorskiego *alter ego*, bo to chwyt znany z wielu dzieł współczesnej prozy. Tutaj narrator jest wyraziście, niekonięcznie rzecz jasna zawsze wprost, wyraziście poglądów autora tego utworu, powieści tyleż historycznej, co i mówiącej o dylematach człowieka współczesnego, który żartobliwie i przekornie snuje nić własnego widzenia czysto rodzinnej i jednocześnie rodzimej historii (wołkowysko-białorusko-polskiej) po tym, jak zasnąwszy podczas przerwy w samochodowej podróży w wielkim lesie (puszczy „domowej”) trafia do epoki sprzed sześciuset lat, stając się jako nieletnie i mało w tym wszystkim zorientowane chłopię, świadkiem zawiązywania intryg prowadzących do podpisania (u Kabatca jest to nie Krewa, a jego rodzinne miasteczko i zamek w Wołkowysku) pierwszych ustaleń porozumienia tzw. potem unii polsko-litewskiej. Jej wielkim, mimo iż przegrany, przeciwnikiem okazuje się jego powieściowy „wuj” Mikołaj Kabacilos, czarnoruski mnich-intelektualista, próbujący za wszelką cenę odwrócić bieg historii, nie dopuścić do unii Jagiełły z Polakami, gdyż przeczuwa, czym grozi Czarnorusi nieuchronne przez to zerwanie z własną tradycją i kulturą (wcale nie tak „barbarzyńską”, podkreśla autor, bo przecież pozostającą pod ogromnym wpływem oddziaływania bizantyjsko-prawosławnego!).

Młody i „naiwny” sekretarz i powiernik Mikołaja spisujący tę wymaginowaną kronikę „czarnoruską”, wraca z tej wyprawy w głąb czasu najbliższej mu, rodzinnej ziemi, mądrzejszy i zarazem pogodzony ze światem i sobą, choć wewnętrznie „pęknięty”, i nie do końca wyleczony z tej „pięknej choroby” zamyśleń nad dawno minionymi, a zawsze aktualnymi w swych konsekwencjach wyborami dziejowymi przodków oraz krętymi drogami swego własnego losu (i swej krainy), powiadając na koniec: „Nie była do wyleczenia ta ciężka choroba uświęconej krwią ziemi, pozostałem z nimi trochę na dobre, więcej na złe, choć nie szedłem prostą drogą, zbaczając na manowce renegacji, ilekroć odnosiłem wrażenie, że powracam do zdrowia. Granica nie biegła już przez stare grody i bory, lecz we mnie, pękniętym jak dzwon zrzucony z wołkowyskiej wspólnej świątyni”.

Czarnoruską kronikę trędowatych Eugeniusza Kabatca można śmiało polecić nie tylko miłośnikom historii, ale i jako utwór artystycznie wybitny, jako niewątpliwie jedno z najciekawszych – literacko i poznancko – dokonań polskiej prozy lat ostatnich. A zarazem jako świeżej daty przykład niewygasłej dotąd siły owego swoiście kresowego *genius loci* tego, jak doskonale widać to na literackiej mapie Polski, bezpośrednio egzemplifikacji oddziaływania tego wciąż „magicznie” twórczego miejsc, które od tyłu już wieków (a co najmniej od czasów *Pieśni o spustoszeniu Podola przez Tatarów*, poprzez *Sofiówkę* Trembeckiego, słynne romantyków z Mickiewiczem, Słowackim i Malczewskim na czele, po współczesnych dwudziestowiecznych prozaików, takich jak Andrzej Kuśniewicz, Włodzimierz Odojewski, Zbigniew Żakiewicz, Zbigniew Domino czy Stanisław Srokowski) jest nadal czynnym źródłem inspiracji dla wielu naszych pisarzy i twórców z innych dziedzin sztuki (najczęściej, choć nie tylko, z tamtych stron się wywodzących) i ciągle zasila różne nurty polskiego pisarstwa, poezji i prozy, w dzieła wielkiej artystycznej urody oraz twórczej energii poznawczej. Ale to już temat na inne, osobne, opowiadanie.

Janusz TERMER

JANUSZ TERMER – literat, krytyk literacki, dziennikarz, ur. w Warszawie 11 października 1939 r. W 1964 r. ukończył Uniwersytet Warszawski Wydział Filologii Polskiej. Współpracował z czasopismami literackimi: „Współczesność”, „Kierunki”, „Przegląd Humanistyczny”, „Kultura”, „Miesięcznik Literacki”, „Polonistyka” i in. W latach: 1964-69 był pracownikiem naukowym Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej w Warszawie, 1970-72 doktorantem na Uniwersytecie Warszawskim, 1974-79 redaktorem naczelnym miesięcznika literackiego „Nowy Wyrz”, 1985-90 redaktorem naczelnym miesięcznika „Nowe Książki”. Od 1991 współpracownik PAP, dziennika „Nowa Europa”, kwartalnika „Autograf” i innych pism. Członek ZLP od 1971 r. oraz zarządu Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC).

Recenzje

WIESŁAW ZIELIŃSKI

Wrażliwym ludziom

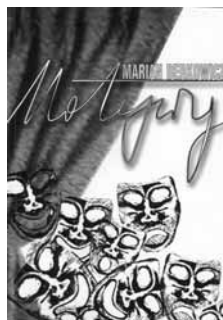
O książkach, które warto przeczytać

Świat współczesnej tandety nie jest w stanie zastąpić wrażliwym ludziom tego, co najważniejsze. Nic nie zastąpi spotkania z wartościową książką. Właśnie o tym pomyślałem po lekturze utworów **Mariana Berkowicza** ze Stalowej Woli, **Jerzego Stefana Nawrockiego** z Rzeszowa, **Teresy Paryny** z Przemysła i **Józefa Plessa** z niemieckiej Lubeki. Ich utwory są w stanie poruszyć nawet najwybredniejszych koneserów współczesnej literatury.

MOTYWY WIerności

Marian Berkowicz, poczynając od debiutu w 1960 roku, jest niezwykle wierny raz obranej drodze artystycznej, zwłaszcza dwóm elementom

zapisywania myśli wierszem. Nadal wciela przesłanie Juliana Przybosa: „Jak najmniej słów, a najwięcej treści” oraz bliski jest lingwistycznym mistrzom poezji: Mironowi Białoszewskiemu, czy w mniejszym stopniu Ryszardowi Milczewskiemu-Bruno. Należy podziwiać wierność obranej drodze artystycznej poety urodzonego w Lisowie k. Jasła,



a od lat związanego ze Stalową Wolą. Najnowszy tomik *Motywy*¹, wydany przez Wydawnictwo „Sztafeta” w Stalowej Woli, chyba najwyraźniej ukazuje dążność Berkowicza do skrótowej doskonałości zapisu tego, co jest wytworem myśli niezwykle wrażliwego autora. W znamienym pod tym względem wierszu *Oblicze słowa* podmiot liryczny tak puentuje: „(...) słowa się integrują / na różne potrzeby/ wciąż są dłużnikami/ odrodzonych/ wityrn.” Do opisywania świata „odrodzonych wityrn”, potrzebne jest przywołanie słów pozornie zużytych. Berkowicz jako wytrawny poeta doskonale wie, że tak naprawdę słowo nie może się zużyć, zatem metaforycznie nazywa to „integracją”. Z lingwistycznym sposobem zapisu

wiersza mamy do czynienia w przypadku utworu nieprzypadkowo nazwanego Liryka. Jest to wiersz o przemijaniu, ale Berkowicz pod maską przybosiowskiej oschłości lapidarnie stwierdza: „mogę już liczyć/ na deszcz/ i mgłę/ w zamieci/ opadających liści/moi przyjaciele/ znikają/ nie da się ukryć/ zdziwieniu / że jestem/ przy wątku/ wzmagania/ na zewnątrz.”

Bardzo ważnym elementem tworzenia przez Berkowicza coraz nowszych i lepszych wierszy jest zmaganie się dwóch baśniowo i tradycyjnie odmiennych wartości: dobra i zła. W wierszu *Porozumienie* tak to diagnozuje: „rozum mi mówi/ że patrząc na zło/ idę do dobra/ ugoda i zapal/ wyjęty ze mnie/ na światło/ mogą być/ skutkiem.” Poezja Berkowicza nie jest ani łatwa, ani też zbyt zrozumiała dla leniwego odbiorcy. Tym bardziej z szacunkiem należy odnieść się do twórczości tego ambitnego artysty.

TEŃTENT POKOLEŃ

Dość długo trwała wędrówka prozaika Jerzego Stefana Nawrockiego w poszukiwaniu tego, co obecnie jest najważniejsze w jego twórczości. Do czerpania z bogactwa własnych przeżyć. Dwuczęściowa opowieść o rodzinie Nawrockich i ich sąsiadach oraz znajomych z powojennego Rzeszowa, która nosi złożony tytuł *Ten tętent karych koni: Cienie²* – to prawie liryczna relacja o zmieniających się ludziach i równie zmieniającym się z roku na rok mieście. W tej książce, określonej jako faktograficzny dokument liryczny, mamy do czynienia z mistrzowskim uwiecznieniem ważnych dla autora postaci. Z chwilą jednak opisania interesujących przeżyć, rodzina Nawrockich i ich sąsiedzi oraz znajomi z dawnych ulic stają się uniwersalni w swych cechach. Autor z sentymentem wspomina trudne powojenne lata, gdy repatrianci ze Lwowa przybyli do Rzeszowa, aby zamieszkać w mieście nad Wisłokiem na długie lata, a niektórzy do końca życia. W niezwykle odważny sposób odnotowuje wszystkie smutki i radości rodzinnego życia. Uczciwość, szczerłość, a zarazem nieco gorzki dystans do osobistych przeżyć i twórcza melancholia są wielką wartością najnowszej książki Jerzy S. Nawrockiego.

Spotykamy się tu z opisem zmieniającego się miasta i zapamiętanych przez autora ważnych dla niego miejsc. Szkoda tylko, że tak cenna książka, za którą słusznie władze miasta przyznały pisarzowi literacką nagrodę I stopnia, ukazała się tylko w okazjonalnym nakładzie, kosztem autora. Wręcz należałoby prosić, aby wydaniem tej cennej pozycji zajęły się ważne dla promowania Rzeszowa urzędy, czy też społeczne instytucje lub organizacje. Nieczęsto spotkać możemy tak ważną dla naszego miasta pozycję, w której liryka prozatorska oznaczona jest w historycznie powojennych realiach. A pamiętamy, że jest to świat, który bezpowrotnie zanika i być może stanie się całkowicie nieczytelny dla następnych pokoleń. Niech będzie więc odtwarzalny chociaż na kartach tej powieści.



BOGACTWO WYOBRAŹNI

Teresa Paryna, rodem z Sośnicy Jarosławskiej, od lat mieszka w przepięknym i malowniczym ponad tysiącletnim Przemyślu. Nie wiem, czy miejsce zamieszkania ma istotny wpływ na jej oryginalną i cenną twórczość, ale wiem, że czerpie w swej twórczości z bogactwa wyobraźni, przekomponowanej z przeżyć i wspomnień. Najcenniejsze z jej wierszy, zawarte w wydanym ostatnio tomiku *Z białej ciszy*³ są poświęcone bliskim osobom oraz miejscom i zdarzeniom przywoływanym przez pamięć.

Szczególnie ujmujące dla wrażliwego czytelnika są wiersze poświęcone pamięci zmarłego męża Ryszarda. W jednym z nich (*Na krawędzi snu*) spotykamy wzruszające wyznanie: „Zawsze gdy stajesz na progu snu/ (jakby tej śmierci nigdy nie było)/ powraca dialog przerwany w pół/ z martwych powstaje nasza miłość...// Znowu codzienność zwykła, pospolita,/ pięknie ubrana w noc i dni,/ i tylko wiosna kirem zakwita – / cicho spływają jaśminowe lzy...// Balansujemy na krawędzi snu./ W tle szumi życie – biegna sprawa, ludzie./ Ach delikatnie, ostrożnie miły mój –/ może się uda nie przebudzić...” Trudno pisać o tak brzemiennych w skutkach sprawach, jak o śmierci najbliższych. Trzeba być prawdziwym mistrzem słowa, aby w poezji ukazać subtelność gorczy przeżyć. Należy uważać, aby do strof nie wdarły się nuty i żale patosu, o co przecież w takich przypadkach nietrudno. Tylko wielcy ludzie pióra potrafią poradzić sobie z balastem takiego ciężaru i zwycięsko z prób tych wychodzi także Teresa Paryna.

Aby podkreślić mistrzostwo poezji zawartej w tomie *Z białej ciszy*, przytoczę w całości najpiękniejszy dla mnie wiersz Teresy Paryny *Jak przed wiekami*: „Pejzaż za oknem całkiem niebiblijny/ a jednak wiem, że już blisko.../ Dzień tak króciutki jak koszula dziecka/ i gorączka świat trawi blokowisko...// Trwa wielki targ, gdzie sprzedają/ figi z makiem i nieba ułudy /z papierową gwiazdą, ze szklanym rajem,/ ze ślepą wiarą w plastikowe cuda...// Wiem, że tak jak przed wiekami/ nie będziesz szukał miejsca/ w salonach pychy, w alejach wrzasku/ gdzie zimne i ciasne serca...// Wpatruję, tęsknię, wybiegam na drogę –/ przeciwną do przepychu i sławy./ Przyjdiesz jak zawsze – cicho, najciszej –/ tak wielki, że całkiem mały...” Wielkość tej poezji polega także na tym, że o rzeczach fundamentalnych, nie tylko dla religii katolickiej, autorka pisze bez banału, a za to z podkreśleniem zwycięstwa ciszy i pokory.

Z OJCOWSKIEGO BÓLU

Są tomiki wierszy, o których najlepiej byłoby pisać jak najmniej, aby nie rozdrapywać ran, które są udziałem tworzących taką poezję. Jeden z zagranicznych gości V Międzynarodowej Sesji „Literatura Pogranicza Polski, Słowacji i Ukrainy oraz Krajów Ościennych” – Józef Pless, zamieszkała w niemieckiej Lubece – pozostawił organizatorom na pamiętkę książkę, będącą jednostronnym zapisem bólu ojca i poety. *Lubeckie paciorki*



*do syna*⁴ to wstrząsający obraz bezsilności. Na oczach zrozpaczonego ojca umiera chory na raka mózgu dwudziestopięcioletni syn. Co można w takiej chwili uczynić? Co można napisać później, gdy rodzinny dramat opanowuje bez reszty każdą myśl, każdą godzinę i następane lata życia bez ukochanej Osoby? Tylko najsilniejsi z ludzi i najlepsi z poetów, jak ongiś Jan Kochanowski, mogą, a może muszą żyć z tak okrutną świadomością. Jeżeli potrafią jeszcze tworzyć rzeczy piękne, to zamilczony nad tajemnicą wierszy rozdających się z tej przyczyny.

Nie sposób opanovać wzruszenia, gdy czyta się wiersz *Poświstywanie śmierci*. Józef Pless tak opisuje swój ból: „Moje lzy zamieniły się w gwiazdy./ Są też kościołem, w którym/ już nigdy żaden święty nie/wymodli choćby jednej sekundy/ spotkania się z synem. Chyba że zbliży mnie/ do niego sam Bóg./ Moje, nasze niebo, jednak czeka na/ pokorny uśmiech, często podkradający/ się w wypieszczonym tłumie, który mam/ nadzieję, że nie będzie ze mnie drwił./ Moje systematyczne rozstrajanie serca może/kiedyś zwariować i zatrzyma się na zawsze./ Co robić, by nauczyć się dalej żyć – synu/ mój jedyny. Jak opanovać zmysły, metafizykę/ i poświstywanie śmierci.” Wręcz niestosownością byłoby dokonywanie oceny tego wiersza. Można tylko za autorem całego tomiku, składającego się z takich właśnie „paciorków”, powtórzyć, jak w wierszu *Tak to prawda*: „Tak to prawda, przez ostatni zimowy/ tydzień wiosenne słońce roztapiało na/ Twojej mogile skorupę śniegu i mój ból./ Rozpieszczone przez dłonie matki/ pokazały się białe krokusy i w tym/ samym kolorze delikatne stokrotki./ Mojemu cierpieniu i kwiatom zrobiło/ się na tyle cieplej, że nieposzedziewanie/ zaczęliśmy uśmiechać się do Ciebie./ Na Wielkanoc odwiedził nas Zmartwych- /wstały, zakwitły żółte tulipany i już nie/ aż tak bolesne uniosło mnie życie./ Tak to prawda.”

W poetycki sposób Józef Pless szuka ratunku już po śmierci syna, gdy umiera papież Polak. Piszę więc w wierszu bez tytułu, opatrzonym pamiętną datą 2 kwietnia 2005 roku: „Teraz Ty Janie Pawle II/ jesteś ojcem mojego syna.” Przejmująco piękna poezja poety z Lubeki nakazuje nam mieć wiarę, że cierpienia obracają się nie tylko w nieprzemijające słowa.



Wiesław ZIELIŃSKI

¹ Marian Berkowicz – *Motywy*. Wydawnictwo „Sztafeta”, Stalowa Wola 2008.
² Jerzy Stefan Nawrocki – *Ten tętent karych koni: Cienie*. Wydawnictwo Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie, Rzeszów 2007.
³ Teresa Paryna – *Z białej ciszy*. Druk – „Multicolor” Jarosław 2008.
⁴ Józef Pless – *Lubeckie paciorki do syna*. Wydawca na zlecenie Autora: Zakład Poligraficzny „Primum”, Grodzisk Mazowiecki 2007.